

**ARTHUR CONAN DOYLE**

# **ŻÓŁTA TWARZ**

**THE YELLOW FACE  
PRZEŁOŻYŁ TADEUSZ EVERT**

Trudno się dziwić, że w moich krótkich opowiadaniach o licznych i dziwnych wydarzeniach, w jakich brałem udział lub o jakich słyszałem — wyjątkowe talenty mego przyjaciela nadały im rozgłos — zatrzymałem się raczej na uwieńczonych sukcesem, a nie na zakończonych porażką. Nie zrobiłem tego dla reklamowania Holmesa, który najbardziej zadziwiał swą wszechstronnością i energią, kiedy się znalazł w ślepej uliczce. Ale gdzie jemu się nie powiodło, nie powiodło się nikomu, i wtedy historia nie miała zakończenia. Zdarzało się jednak, że gdy się nawet pomylił, prawda wychodziła na jaw. Zanotowałem z pół tuzina podobnych wypadków, a z nich wydarzenie z „drugą plamą” i to, które teraz opowiem, są najciekawsze.

Sherlock Holmes rzadko kiedy uprawiał ćwiczenia fizyczne z samego do nich zamiłowania. Ale mało kto był tak wytrzymały jak on, a gdy chodzi o boks, był jednym z najlepszych bokserów, jakich znałem. Nie lubił jednak bezcelowego wysiłku, uważał go za marnowanie energii i niechętnie się nań zdobywał, chyba że chodziło o sprawy zawodowe. Wtedy bywał po prostu niezmordowany.

Pewnego dnia wczesną wiosną zgodził się jednak wyjść ‘ze mną na spacer do parku, gdzie wiązy pokryły się już świeżą zielenią, a kasztany puściły lepkie, kędzierzawe, pięciolistne pączki. Dwie godziny włóczyliśmy się prawie bez słowa, jak ludzie, którzy wszystko o sobie wiedzą. Na Baker Street wróciliśmy dopiero przed piątą.

— Proszę pana — powiedział nasz młody sługa otwierając drzwi — ktoś pana szukał.

Holmes spojrział na mnie z wyrzutem.

— Oto skutki popołudniowych spacerów — powiedział. — Czy ten pan sobie poszedł?

— Tak.

— Czyś go prosił, żeby zaczekał?

— Tak. Wszedł i czekał.

— Jak długo?

— Z pół godziny. To jakiś niespokojny pan. Biegał przez cały czas po pokoju jak wariat. Byłem za drzwiami i słyszałem. Wreszcie wyszedł na korytarz i krzyknął: „Czyż ten człowiek nigdy nie wróci?!” Tak właśnie powiedział. „Musi pan jeszcze trochę poczekać” — odpowiedziałem. „To poczekam na ulicy, bo tu się duszę — odrzekł. — Zaraz wrócę”. Z tym wybiegł i nic by go nie zatrzymało.

— Dobrze. Jesteś w zupełnym porządku — rzekł Holmes wchodząc do pokoju. — Co za szkoda — zwrócił się do mnie. — Diabelnie potrzebuję jakiejś sprawy, a ta, sądząc z nerwowości naszego gościa, wygląda na poważną. Ha! to przecież nie twoja fajka, tam na stole! To on jej musiał zapomnieć. Piękna, stara, głogowa fajka z długim cybuszkiem. Bursztynowym, jak mówią sprzedawcy tytoniu. Ciekaw jestem, ile też prawdziwych bursztynowych cybuszków znajdzie się w Londynie. Niektórzy uważają, że zatopiony owad dowodzi prawdziwości bursztynu. Powstała z tego cała gałąź przemysłu: zatapiania fałszywych owadów w fałszywym bursztynie. Ale nasz gość musiał być bardzo zdenerwowany, skoro zapomniał ulubionej fajki.

— Skąd wiesz, że ją lubi? — zapytałem.

— Taka fajka kosztuje siedem szylingów i sześć pensów. Tę, jak widzisz, reperowano dwa razy: raz cybuszek, a raz przy główce. Za każdym razem zakładano srebrną obrączkę, co musiało kosztować drożej niż nowa fajka. A zatem ten gość musi bardzo cenić sobie swą fajkę, jeśli ją reperuje za drogie pieniądze zamiast kupić nową.

— I co jeszcze? — zapytałem widząc, że Holmes obraca fajkę w dłoni i przygląda się jej w swój szczególny, badawczy sposób.

Podniósł fajkę w górę i postukując w nią długim, szczupłym palcem, jak profesor anatomii w jakąś kość podczas wykładu, począł mówić:

— Fajki czasem bywają bardzo ciekawe. Żaden przedmiot tak nie odbija indywidualności posiadacza, z wyjątkiem chyba zegarków i sznurowadeł. Ale z tej nie czytam nic szczególnego ani ważnego. Jej właściciel jest człowiekiem krzepkim i niedbałym, mańkutom, ma zdrowe zęby i nie liczy się z pieniędzmi.

Rzucił te uwagi niedbale, ale widziałem, że zezuje ku mnie, czy go aby uważnie słucham.

— Sądziś, że człowiek jest dobrze sytuowany, jeśli pali siedmioszylingową fajkę? — zapytałem.

— To jest grosvenorska mieszanka. Jedna uncja kosztuje osiem pensów — odpowiedział wytrząsając trochę popiołu na dłoń. — A że można dostać doskonały tytoń za połowę tej ceny, przeto ten człowiek może się nie liczyć z pieniędzmi.

— No, a inne wnioski?

— Ma zwyczaj zapalać fajkę od lampy lub gazowego rożka. Widzisz ten zwęglony bok? Od zapalki tak by się nie zrobiło. Po kiego licha miałby człowiek przytykać zapalkę do boku fajki? Ale nie można przypalić od lampy nie zwęgliwszy główki fajki. Zauważ, że zwęglenie występuje po prawej stronie. Stąd wniosek, że właściciel jest mańkutom. Przyłóż fajkę do ognia, a przekonasz się, że podstawileś jej lewą stronę. Bo nie jesteś mańkutom. Mógłbyś czasem zrobić inaczej, ale nie stale. Tę zawsze przypalano z prawej strony. Bursztyń jest przegryziony, a to świadczy, że palacz jest krzepki i ma mocne uzębienie. Lecz zdaje się, że słyszę jego kroki na schodach. Za chwilę będziemy się zastanawiali nad czymś ciekawszym niż ta fajka.

Istotnie za parę chwil drzwi się otworzyły i wysoki młody mężczyzna wszedł do pokoju.

Ubrany był elegancko, choć spokojnie, w ciemnoszary garnitur. W rękę trzymał brązowy pilśniowy kapelusz z szerokim rondem. Na pierwszy rzut oka dałbym mu trzydzieści lat, choć naprawdę był nieco starszy.

— Przepraszam — odezwał się zaambarasowany. — Chyba zastukałem? Musiałem zastukać. Jestem trochę zdenerwowany i stąd to wszystko.

Przesunął ręką po czole jak człowiek na pół przytomny i bezradnie opadł na fotel.

— Widzę, że pan nie spał ze dwie noce — rzekł Holmes w swój bezpośredni, ujmujący sposób. — To wyczerpuje nerwy bardziej niż praca, a nawet więcej niż zabawa. W czym mogę panu pomóc?

— Potrzebuję pańskiej rady. Nie wiem, co robić. Mam złamane życie.

— Chce pan ode mnie porady detektywa?

— Nie. Nie tylko tego. Chciałbym usłyszeć pańskie zdanie. Zdanie człowieka rozumnego... doświadczonego życiowo. Muszę wiedzieć, jak postąpić. Wierzę, że pan mi pomoże.

Mówił krótkimi, urywanymi, jakby wymuszonymi zdaniami. Wydawało się, że mówienie sprawia mu ból, że zmusza się do tego całym wysiłkiem woli, wbrew własnym chęciom.

— To rzecz delikatna — ciągnął. — Obcych nie wtajemnicza się w rodzinne sprawy. To straszne mówić obcym mężczyznom o własnej żonie. Okropne. Ale już jestem u kresu sił. Muszę się kogoś poradzić.

— Drogie panie Grant Munro... — zaczął Holmes. Nasz gość poderwał się z miejsca.

— Jak to! — krzyknął. — Pan mnie zna?

Holmes uśmiechnął się.

— Jeśli pan chce zachować incognito — powiedział — niech pan nie nosi swego nazwiska wypisanego na podszewce kapelusza. Albo niech go pan odwróci od rozmówcy. Chciałam panu powiedzieć, że wraz z moim przyjacielem wysłuchaliśmy wielu dziwnych sekretów w tym pokoju. I mieliśmy szczęście ukoić niejedno cierpienie. Wierzę, że i w pańskim wypadku nam się to uda. Czas nagli, proszę więc, niech pan nie zwleka i powie, co się stało.

Munro raz jeszcze przesunął ręką po czole, jakby mu było niezmiernie ciężko zabrać się do opowiadania. Z wyrazu twarzy i każdego gestu widziałem, że był człowiekiem skrytym i zamkniętym w sobie — naturą dumną, skłoną raczej do ukrywania swych cierpień niż do obnoszenia się z nimi. Nagle, rozpaczliwie machnąwszy zaciśniętą pięścią, jakby odrzucał na bok wszelkie skrupuły, zaczął:

— Oto fakty, panie Holmes. Jestem żonaty od trzech lat. Przez te trzy lata bardzo kochaliśmy się z żoną i żyliśmy tak szczęśliwie i zgodnie, jak tylko dwoje ludzi żyć może. Nic nas nie różniło: ani myśli, ani słowa, ani czyny. I nagle od ubiegłego poniedziałku jakby jakaś bariera wyrosła między nami. Czuję, że w myślach i w życiu mojej żony jest coś, o czym tyleż wiem co o myślach i życiu pierwszej lepszej mijanej kobiety. Staliśmy się sobie obcy i chcę wiedzieć dlaczego.

Na jedną rzecz chciałbym panu przede wszystkim zwrócić uwagę. Effie mnie kocha. W to nie można wątpić. Kocha mnie całym sercem i duszą, a teraz bardziej niż kiedykolwiek. Ja to czuję. Ja to wiem. O tym nawet nie chcę mówić. Mężczyzna doskonale wie, kiedy kobieta go kocha. Ale jakaś tajemnica nas rozdzieliła i nie będzie między nami tak jak dawniej, dopóki jej nie wyjaśnimy.

— Proszę pana o fakty — niecierpliwie zauważył Holmes.

— Powiem panu, co wiem o Effie. Poznałem ją, gdy już była wdową, choć zupełnie młodą kobietą, zaledwie dwudziestopięcioletnią. Nazywała się Hebron. Wyjechała do Ameryki, mieszkała w mieście Atlanta, gdzie właśnie wyszła za Hebrona, dość wziętego adwokata. Miała z nim dziecko, ale epidemia żółtej febry zabrała i męża, i dziecko. Widziałem akt zgonu męża. To obrzydziło jej Amerykę. Wróciła i zamieszkała ze swą ciotką, starą panną, w Pinner w Middlesex. Muszę powiedzieć, że mąż Effie nie zostawił jej bez środków do życia. Odziedziczyła po nim pokaźny kapitał czterech i pół tysiąca funtów, dobrze ulokowany na mniej więcej siedem procent. Poznaliśmy się zaledwie w jakieś sześć miesięcy po jej zamieszkaniu w Pinner. Pokochaliśmy się i w parę tygodni później — pobrali.

Ja handluję chmielem, co przynosi mi od siedmuset do ośmuset funtów. Możemy więc żyć dostatnio i wynajmować sobie willę w Norbury, za którą płacimy osiemdziesiąt funtów rocznie. Nasza siedziba ma charakter wybitnie wiejski, jakkolwiek leży niedaleko miasta. Jest tam oberża i dwa małe domki w pobliżu, a po drugiej stronie polany, na wprost naszego domu, stoi mały *cottage*\*. Poza tym prawie do samej stacji nie ma żadnych zabudowań. Moje interesy są czysto sezonowe i latem mam mało pracy. Byliśmy więc szczęśliwi w naszym domku, jak tylko ludzie mogą być szczęśliwi. Mówiłem już panu, że dotąd nic nie zakłóciło naszej harmonii.

Zanim będę opowiadał dalej, muszę jeszcze o czymś panu napomknąć. Po ślubie moja żona cały swój majątek przeniosła na mnie... raczej wbrew mojej woli, bo wiedziałem, co by się stało, gdyby mi się noga powinęła w interesach. Ale uparła się i nic nie mogłem poradzić. Aż tu jakieś sześć tygodni temu poprosiła mnie:

— Jack — powiedziała — przyjmując mój majątek mówiłeś, że w każdej chwili mi go oddasz.

— Oczywiście — odpowiedziałem. — Należy do ciebie.

— Dobrze. Potrzebuję sto funtów.

Zdziwiło mnie to trochę; wyobrażałem sobie, że będzie potrzebowała tyle pieniędzy, co na suknię czy inne fatalaszki.

— Po cóż ci tyle pieniędzy? — zapytałem.

— Och — odparła żartobliwie. — Mówiłeś, że jesteś tylko moim bankierem, a bankierzy nigdy o nic nie pytają swoich klientów.

\* Cottage — domek wiejski.

— Jeżeli ci na tym zależy, wypłacę ci tę kwotę.

— Tak. Bardzo mi zależy.

— A nie powiesz mi na co?

— Kiedyś — może. Ale nie teraz.

Musiałem na tym poprzestać, choć pierwszy raz się zdarzyło, by jakaś tajemnica stała się między nami. Dałem jej czek i nie myślałem o tym więcej. Być może, nie ma to nic wspólnego z tym, co się potem stało, ale uważam, że lepiej to panu powiedzieć.

A więc, jak już wspomniałem, w pobliżu naszego domu stoi mały cottage. Dzieli go od nas polana. Żeby do niego dojść, trzeba iść szosą, a później skręcić w polną drogę. Zaraz za nią rośnie mały, czarujący sosnowy gaik, po którym bardzo lubię błądzić, bo drzewa to nasi najmiłsi sąsiedzi. Cottage, o którym mówiłem, osiem miesięcy stał pusty, a szkoda, bo to ładny piętrowy domek ze staromodnym gankiem, oplecionym wiciokrzewem. Nieraz przyglądałem się temu domkowi myśląc, jaką mógłby być miłą rezydencją.

W ubiegły poniedziałek wieczorem, gdy szedłem sobie tamtędy, spotkałem na drodze pusty wóz meblowy, a na trawniku obok ganku ujrzałem stos dywanów i różne meble. Najwidoczniej cottage nareszcie wynajęto. Przeszedłem obok i zatrzymałem się w pobliżu. Przyjrzałem się domkowi i rzeczom, zastanawiając się, kogo to teraz będziemy mieli za sąsiadów. Gdy tak stałem, uczułem nagle, że ktoś mi się przygląda z górnego okna. Nie wiem, panie Holmes, co było dziwnego w tej twarzy w oknie, ale przejął mnie dreszcz. Stałem z daleka, nie mogłem więc dostrzec rysów patrzącego, ale w jego obliczu było coś nienaturalnego, nieludzkiego. Pod tym wrażeniem podszedłem bliżej, by zobaczyć, kto na mnie patrzy. Ale przy pierwszym moim kroku twarz nagle znikła. Jakby zapadła w mrok pokoju. Z pięć minut stałem i rozmyślałem, co by to być mogło. Trudno mi określić, czy twarz była męska, czy kobieca. Zaintrygował mnie przede wszystkim jej kolor. Była trupiożółta, jakby martwa. Tak mną to wstrząsnęło, że postanowiłem koniecznie dowiedzieć się czegoś o przybyszach. Wszedłem na ganek i zastukałem do drzwi. Otworzyła mi jakaś niewiasta, szczupła, wysoka jak tyka, o szorstkich, odpychających rysach twarzy.

— Czego pan szuka? — zapytała z wyraźnym północnym akcentem.

— Jestem sąsiadem, mieszkam po tamtej stronie — powiedziałem wskazując na mój dom. — Widzę, że państwo się właśnie wprowadzają. Może mógłbym w czymś pomóc...

— Jak będziemy potrzebowali, to poprosimy — odpowiedziała i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Zgniewany tym grubiańskim przyjęciem odwróciłem się i odszedłem. Cały wieczór starałem się myśleć o czymś innym, ale wciąż wracałem pamięcią do twarzy widzianej w oknie i do szorstkiego przyjęcia, z jakim się spotkałem. Postanowiłem nic żonie nie mówić, bo jest nerwowa, a nawet przeczulona i na pewno bardzo by się przejęła moją niemią przygodą. Nie chciałem, by jej się udzieliło moje zdenerwowanie. Jednakże zanim zasnąłem, powiedziałem, że w cottage'u ktoś zamieszkał, ale ona puściła to mimo uszu.

Na ogół śpiam bardzo twardo. W domu stale się śmieją, że nawet z armaty mnie nie obudzi. A jednak tej nocy, czyi to ze zdenerwowania, czy z czegoś innego, spałem znacznie lżej. Na pół we śnie uprzytomniłem sobie, że coś dziwnego dzieje się w pokoju. Powoli zrozumiałem, że żona ubrała się, że wkłada palto i kapelusz. Już rozchyliłem usta, by — na pół przytomny — wyrazić zdumienie i protest przeciw tym niewczesnym przygotowaniom, gdy spod powiek ujrzałem twarz żony oświetloną blaskiem świecy. Zamarłem ze dziwienia. Nigdy przedtem nie widziałem jej takiej... nigdy nie przypuszczałem, że może tak wyglądać: była trupiobladą, oddychała szybko i zapinając palto ukradkiem spoglądała na moje łóżko, czy się inie zbudziłem. Później, myśląc, że śpię, bezszelestnie wymknęła się z pokoju. Po chwili usłyszałem skrzyp zawiasów przy drzwiach

wejściowych. Siadłem na łóżku i uszczyptałem się, by się przekonać, czy nie śnię. Potem wyjąłem zegarek spod poduszki. Była trzecia w nocy. Czego, u licha, szukała moja żona na dworze o trzeciej nad ranem?

Siedziałem tak ze dwadzieścia minut, głowiąc się nad tą zagadką. A im więcej myślałem, tym mniej rozumiałem. Wciąż jeszcze łamałem sobie głowę doszukując się prawdy, gdy usłyszałem cichy stuk drzwi i kroki żony na schodach.

— Effie, na miłość boską, gdzie byłaś? — zapytałem, gdy weszła.

Zadrzała i krzyknęła zduszonym głosem. A jej krzyk i przerażenie wstrząsnęły mną silniej niż to, że wyszła w nocy. Bo w tym krzyku i bezwiednym drgnięciu było jakby przyznanie się do winy. Moja żona miała szczery, otwarty charakter, zmartwiałem więc, widząc ją wkradającą się do własnego pokoju i wpadającą w przerażenie na głos męża.

— Nie śpisz, Jack? — wykrzyknęła śmiejąc się nerwowe, — Myślałam, że nic cię nie zdoła obudzić.

— Gdzieś była? — zapytałem surowym tonem.

— Rozumiem, że się dziwisz — odpowiedziała i zauważyłem, że palce jej drżą przy rozpinaniu palta. — Nigdy mi się to jeszcze nie zdarzyło. Było mi duszno i chciałam odetchnąć świeżym powietrzem. Chybabym zemdląła, gdybym nie wyszła. Postąpiłam parę chwil przed domem i teraz już mi przeszło.

Mówiąc to ani razu nie spojrzała na mnie, a głos miała zmieniony. Widziałem, że kłamie. Przemilczałam to i ze zbolałym sercem, dręczony tysiącem wątpliwości i najgorszych podejrzeń, odwróciłem się do ściany. Co moja żona ukrywa przede mną? Dokąd chodziła tak w tajemnicy? Czuję, że się nie uspokoję, póki nie dowiem się wszystkiego. Ale gdy skłamała, nie mogłem zdobyć się na to, by ją dalej wypytywać. Całą resztę nocy przewracałem się z boku na bok, snując coraz fantastyczniejsze domysły.

Rano powinienem był pojechać do miasta, ale byłem zbyt udęczony, by spokojnie zająć się interesami. Moja żona zdawała się nie mniej udęczona. Wiedziała, że jej nie uwierzyłem, i rozpaczliwie szukała jakiegoś wyjścia. Poznałem to po ukradkowych, badawczych spojrzeniach, jakie na mnie rzucała. Przy śniadaniu nie zamieniliśmy prawie słowa. Zaraz potem wyszedłem na spacer, by w spokojny, pogodny ranek przemyśleć wszystko jeszcze raz od początku.

Zawędrowałem aż do Cristal Palace, z godzinę odpoczywałem na trawie i o pierwszej byłem z powrotem w Norbury. Droga wypadła mi koło cottage'u. Przystanąłem więc, by spojrzeć w okna, czy czasem nie dojrzę w którymś tej zagadkowej twarzy widzianej wczoraj. Niech pan sobie wyobrazi moje zdziwienie, panie Holmes, kiedy drzwi cottage'u nagle się otworzyły i wyszła z nich moja żona!

Skamieniałem na jej widok. Ale ona zdawała się stokroć bardziej zaskoczona, gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały. Zrobiła ruch, jakby się chciała cofnąć, ale potem widząc, że już za późno, blada, z przerażeniem w oczach, z przyklepionym do ust nienaturalnym uśmiechem postąpiła parę kroków.

— Och, Jack! — powiedziała. — Właśnie odwiedziłam sąsiadów. Chciałam zapytać, czy im czego nie potrzeba. Czemu tak na mnie patrzysz? Gniewasz się?

— A więc tu przychodziłaś w nocy? — rzekłem.

— Co masz na myśli?

— Byłaś tu. To pewne. Kim są ci ludzie, że odwiedzasz ich w nocy?

— Jestem tu po raz pierwszy.

— Jak możesz mnie okłamywać?! — krzyknąłem. — Nawet twój głos cię zdradza. Czy kiedy ukrywałem coś przed tobą? Wejdę do domu i dowiem się prawdy!

— Nie, nie, na miłość boską! — mówiła urywanym głosem, nie panując nad sobą.

A gdy podszedłem do drzwi, schwyciła mnie za rękaw i odciągnęła z szaleńczą wprost siłą.

— Błagam cię, Jack, nie rób tego! — wołała. — Przysięgam, że kiedyś wszystko ci powiem. Jeżeli wejdiesz do środka, stanie się coś strasznego. — Staralem się wyrwać, ale przyłgnęła do mnie błagając obłędnie: — Zaufaj mi. Jeden jedyny raz. Nigdy tego nie pożałujesz. Wiesz, że jeśli coś ukrywam przed tobą, to tylko dla twego dobra. Chodzi o nasze szczęście. Wróćmy do domu i jakoś się to ułoży. Ale jeżeli wedrzesz się do cottage'u, wszystko między nami będzie skończone.

Mówiła tak przekonywająco, z taką rozpaczą, że zatrzymałem się przed drzwiami nie wiedząc, co robić.

— Dobrze — powiedziałem wreszcie — zaufam ci pod jednym tylko warunkiem: że od tej chwili koniec z tajemnicą. Możesz ją sobie zachować, ale musisz mi obiecać, że już nigdy nie będziesz wychodzić w nocy i nic przede mną ukrywać. Zapomnę o tym, co było, jeśli przyrzekniesz, że to się więcej nie powtórzy.

— Wiedziałam, że mi zaufasz! — krzyknęła z ulgą. — Będzie tak, jak sobie życzysz. Chodź już stąd, chodź do domu.

Za rękaw odciągnęła mnie od cottage'u.

Odchodząc odwróciłem się i ujrzałem w górnym oknie wyglądającą za nami sinawożółtą twarz. Co moja żona mogła z nią mieć wspólnego? Albo co mogło łączyć moją żonę z gburowatą, prostą kobietą, którą widziałem wczoraj? To była prawdziwa zagadka. Czułem, że się nie uspokoję, póki jej nie rozwiążę.

Dwa następne dni przesiedziałem w domu. Moja żona dotrzymała przyrzeczenia, bo o ile wiem, nie ruszyła się za próg. Lecz tajemnicza pokusa najwidoczniej była silniejsza; mam niezbite dowody, że trzeciego dnia zapomniała o danej obietnicy i obowiązku żony.

Tego dnia pojechałem do miasta, ale wróciłem pociągiem nieco wcześniejszym niż zwykle. Gdy wchodziłem do hallu, wybiegła mi na spotkanie niezwykle zaaferowana służąca.

— Gdzie pani? — zapytałem.

— Poszła się przejść, proszę pana — odpowiedziała.

Natychmiast ogarnęły mnie podejrzenia. Wbiegłem na górę, chcąc się upewnić, czy żony naprawdę nie ma. W tym momencie ujrzałem z okna służącą, z którą przed chwilą rozmawiałem, jak biegła przez pole w kierunku cottage'u. Zrozumiałem, co to znaczy. Moja żona tam poszła i kazała dać sobie znać, gdybym przypadkiem wrócił wcześniej. Dygocąc z gniewu zbiegłem na dół i wielkimi krokami ruszyłem przez polankę, zdecydowany położyć kres wszystkiemu. Ujrzałem żonę i służącą biegnące polaną, ale nie zatrzymałem się. Domek zawierał tajemnicę, która zatrzymała mi życie. Niech się dzieje, co chce — mówiłem sobie z uporem — ale wyjaśnię tę zagadkę.

Nawet nie zastukałem do drzwi, nacisnąłem klamkę i wbiegłem do środka.

Na parterze panowała głucha cisza. W kuchni garnek śpiewał na ogniu, a wielki czarny kot spał zwinięty w koszyku. Lecz nigdzie nie było śladu kobiety, którą widziałem przed paru dniami. Wpadłem do innego pokoju, ale i ten był pusty. Wbiegłem po schodach na piętro, lecz i tam nikogo nie znalazłem. W całym domu nie było żywej duszy. Obrazy na ścianach i meble były bardzo pospolite. Tylko jeden pokój był wygodnie i wytwornie urządzone — ten na górze, z oknem, w którym widziałem dziwną żółtą twarz. Moje podejrzenia rozgorzały z jeszcze większą siłą, gdy w nim, na kominku, zobaczyłem dużą fotografię żony, zrobioną na moją prośbę zaledwie trzy miesiące temu.

Zostałem w tym domu przez dłuższą chwilę, by się upewnić, że w nim naprawdę nikogo nie ma. Potem wyszedłem z sercem ciężkim jak ołów. Gdy wróciłem do domu, moja żona zeszła do

hallu. Byłem jednak zanadto zboląły i zły, by z nią mówić. Minąłem ją i skierowałem się do gabinetu. Weszła jednak za mną, nim zdążyłem zamknąć drzwi.

— Jack, strasznie mi przykro, że złamałam słowo — powiedziała. — Gdybyś jednak znał prawdę, na pewno byś mi przebaczył.

— A więc wyznaj mi ją — odparłem.

— Nie mogę, nie mogę! — zawołała.

— Nie chcę mieć z tobą nic do czynienia, dopóki mi nie powiesz, kto mieszka w tamtym domku i komu dałaś swą fotografię! — wykrzyknąłem i wybiegłem z domu.

To było wczoraj, panie Holmes. Od tej chwili ani jej nie widziałem, ani się niczego nowego nie dowiedziałem o tej tajemniczej historii. Ta sprzeczka była pierwszą między nami i tak się nią przejąłem, że nie wiedziałem, co począć. Nagle przyszło mi na myśl, że pan jest jedynym człowiekiem, który może mi poradzić, więc przyszedłem. Oddaję się całkowicie w pańskie ręce i mam nadzieję, że wybawi mnie pan z tej okropnej sytuacji, która staje się nie do zniesienia.

Obaj z Holmesem słuchaliśmy z wielkim zainteresowaniem tej niezwyklej historii, opowiadanej urywanymi zdaniem przez człowieka na progu załamania. Mój przyjaciel chwilę siedział w milczeniu z brodą wspartą na ręce, zatopiony w myślach.

— Czy może pan przysiąc — odezwał się wreszcie — że twarz widziana przez pana w oknie należała do mężczyzny?

— Za każdym razem stałem z daleka, nie mogę więc tego twierdzić z całą pewnością.

— Mówił pan, że sprawiła na panu przykre wrażenie.

— Tak. Była nienaturalnego koloru, jakaś dziwnie nieruchoma i zmartwiała. A gdy się zbliżyłem, znikła raptownie.

— A jak dawno pańska żona poprosiła pana o sto funtów?

— Około dwóch miesięcy temu.

— Czy pan widział fotografię jej pierwszego męża?

— Nie. Wkrótce po jego śmierci wybuchł w Atlancie wielki pożar i wszystkie papiery mojej żony spaliły się.

— Miała jednak akt zgonu męża. Mówił pan, że go pan widział.

— Tak. Wystarała się o odpis.

— Czy spotkał pan kogoś, kto znał pańską żonę w Ameryce?

— Nie.

— Czy nie wspominała, że chciałaby odwiedzić Amerykę?

— Nie.

— A czy dostawała stamtąd listy?

— Nic o tym nie wiem.

— Dziękuję panu. Muszę to sobie przemyśleć. Będziemy mieli trochę trudności, jeżeli cottage porzucono na stałe. Jeśli zaś, jak przypuszczam, jego mieszkańcy, uprzedzeni zawczasu, uciekli przed panem i teraz już są z powrotem, uda nam się wszystko łatwo wyjaśnić. Radzę panu teraz wrócić do Norbury i obserwować okna. Gdy pan stwierdzi, że ktoś tam jest, niech pan nie wchodzi, tylko zadeszkuje do nas. Nadjedziemy w godzinę po otrzymaniu depeszy. A wtedy szybko rozszyfrujemy tajemnicę.

— A jeżeli dom będzie wciąż porzucony?

— W takim razie przyjadę jutro rano i pogadamy. Do widzenia. I niech pan pamięta: nie martwić się, dopóki nie ma realnych powodów.

— Boję się, mój drogi, że to przykra sprawa — powiedział Holmes po odprowadzeniu do drzwi biednego Munro. — Jakie jest twoje zdanie?

— Coś tu brzydko pachnie — odparłem.



— Tak. Głowę daję, że jakimś szantażem.

— Ale kim jest ten szantażysta?

— Musi nim być jegomość mieszkający w jedynym wygodnym pokoju tego domku i trzymający fotografię pani Munro na kominku. Mówię ci, że fascynuje mnie ta zółta twarz i że muszę za wszelką cenę wyjaśnić tę zagadkę.

— Wyrobiłeś już sobie jakiś pogląd?

— Tak. Prowizoryczny. Ale przypuszczam, że okaże się słuszny. W domku mieszka pierwszy mąż pani Munro.

— Czemu tak myślisz?

— Jakże wytłumaczysz jej obłądny lęk przed tym, żeby jej drugi mąż tam nie wszedł? Według mnie fakty wyglądają następująco: niewiasta wyszła za mąż w Ameryce. Jej mąż okazał się łajdakiem albo, powiedzmy, zaraził się jakąś wstrętną chorobą, może trądem. A może zidiociał. Uciekła więc od niego, wróciła do Anglii, zmieniła nazwisko i jak się jej wydawało, zaczęła życie na nowo. Od trzech lat była z mężem, uważała, że nic już jej nie grozi — mężowi pokazała akt zejścia człowieka, którego nazwisko przybrała — gdy nagle jej pierwszy mąż, albo powiedzmy jakaś łajdaczka opiekująca się nim, wpadli na jej ślad. Napisali więc do pani Munro grożąc, że ją zdemaskują. Wówczas to wyprosiła od męża sto funtów i spróbowała ich przekupić. Mimo to przyjechali do Anglii i kiedy Munro wspomniał żonie, że ktoś się wprowadził do cottage'u, domyśliła się, o kogo chodzi. Zaczekała, aż mąż zaśnie, i pobiegła ubłagać prześladowców, by ją zostawili w spokoju. Nie udało jej się to i następnego ranka znów tam poszła. Wtedy to mąż widział ją wychodzącą z cottage'u. Obiecała mu, że już tam nie pójdzie. Ale po dwóch dniach, dręczona chęcią uwolnienia się od przykrych sąsiadów, raz jeszcze spróbowała szczęścia. Wtedy zabrała ze sobą fotografię, której pewnie od niej zażądano. W środku rozmowy wpadła służąca z wiadomością, że Munro wrócił. Pani Munro domyśliwszy się, że mąż zaraz tu przybiegnie, zmusiła mieszkańców cottage'u do ucieczki. Pewnie schronili się w sosnowym gaiku, rosnącym, jak wiemy, obok. Dlatego Munro nikogo w domu nie znalazł. Ale zdaje mi się, że dziś wieczorem już tam ktoś będzie. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Cóż ty o tym myślisz?

— To są wszystko przypuszczenia.

— Oparte na faktach. Będziemy mieli czas przemyśleć wszystko od nowa, jeśli świeże fakty zaprzeczą mojej teorii.

Tymczasem możemy tylko czekać na depeszę z Norbury od naszego przyjaciela.

Nie czekaliśmy długo. Ledwie skończyliśmy popołudniową herbatę, wręczono nam depeszę:

Cottage jest zamieszkały, znowu widziałem twarz w oknie. Oczekuję waszego przyjazdu pociągiem o siódmej. Nic przedtem nie przedsięwzię.

Munro czekał na peronie. W świetle latarń widzieliśmy, że był blady i drżał z podniecenia.

— Jeszcze tam są, panie Holmes — powiedział kładąc rękę na ramieniu mego przyjaciela. — Widziałem światło, gdy szedłem do panów. Musimy nareszcie wszystko wyjaśnić.

— Jakież pan ma plan? — zapytał Holmes, gdy szliśmy ciemną, obsadzoną drzewami drogą.

— Wedrę się do środka i przekonam się, kto tam mieszka. Chciałbym obu panów mieć za świadków.

— Zdecydował się pan, mimo ostrzeżenia żony, że lepiej nie badać tajemnicy?

— Tak. Zdecydowałem się.

— Myślę, że pan ma rację. Najgorsza prawda lepsza jest od ciągłej niepewności. Więc chodźmy prosto tam. Nie postępujemy legalnie, łamiemy prawo, ale myślę, że nie ma . innego wyjścia.

Wieczór był bardzo ciemny, a deszcz począł siąpić coraz gęściej, gdy skręciliśmy z szosy w wyboistą, wysadzoną drzewami polną drogę. Munro niecierpliwie biegł naprzód, a my, jak mogliśmy, zdążaliśmy za nim.

— To światła mego domu — mruknął wskazując na światełka migocące między drzewami — a tam jest cottage.

Właśnie wyszliśmy na zakręt i stanęliśmy tuż przed domkiem. Żółtawa smuga przecinająca czerń wieczoru zdradzała, że drzwi były uchylone. Jedno z okien na piętrze świeciło jasno. Jakiś cień przesunął się za jego zasłoną.

— Jest! — krzyknął Grant Munro. — Sami widzicie, że się tam ktoś rusza. Idźcie panowie za mną... Dowiemy się prawdy.

Podeszliśmy pod drzwi. Nagle jakaś kobieca postać wyłoniła się z cienia i stanęła w złotej smudze światła. W mroku nie widziałem jej twarzy, zauważyłem tylko błagalnie wyciągnięte w naszą stronę ramiona.

— Jack, na miłość boską! — zawołała. — Coś mi mówiło, że przyjdiesz! Zastanów się, kochanie. Wierzaj mi, że nigdy tego nie pożałujesz.

— Dość ci już wierzyłem, Effie! — ostro krzyknął Munro. — Odsuń się! Muszę tam wejść. Raz nareszcie dojdziemy prawdy.

Odepchnął ją i wszedł, a my podążyliśmy za nim. Gdy otworzył drzwi, zabiegła mu drogę jakaś starsza kobieta. Odepchnął ją również i w chwilę potem wbiegaliśmy już po schodach. Grant Munro wpadł do jasno oświetlonego pokoju na samej górze. My deptaliśmy mu po piętach.

Był to przytulny, dobrze umeblowany pokój, oświetlony dwiema świecami stojącymi na stole i dwiema na kominku. W rogu, pochylona nad stołem, tyłem do nas, siedziała mała istotka podobna do dziewczynki. Była w czerwonej sukience i długich białych rękawiczkach. Raptownie odwróciła się ku nam, a ja krzyknąłem zdziwiony i przerażony zarazem. Ujrzałem bowiem twarz dziwnie żółtą, o zupełnie nieruchomych, tępych rysach. Ale w chwilę potem tajemnica została wyjaśniona. Holmes śmiejąc się przesunął ręką za uszami dziecka. Maską spadła i spoza niej wyjrzała czarna jak węgiel twarzyczka małej Murzynki z białymi, lśniącymi perłami zębów, obnażonych w radosnym uśmiechu na widok naszych zdumionych min. Z całego serca zawtórowałem tej dziecięcej wesołości, ale Munro stał jak skamieniały, z wytrzeszczonymi oczami i ręką zaciśniętą na gardle.

— Mój Boże! — krzyknął wreszcie. — Co to znaczy?

— Zaraz ci powiem, co to znaczy — powiedziała pani Munro wchodząc do pokoju z podniesionym czołem. — Zmusiłeś mnie do przyznania się i teraz czeka nas ciężka próba. Mój mąż umarł w Atlancie, ale dziecko wyzdrowiało.

— Twoje dziecko?

Wyciągnęła zza stanika duży, srebrny medalion.

— Nigdy nie zagłądałeś do środka?

— Myślałem, że się nie otwiera.

Nacisnęła sprężynę i wieczko odskoczyło. Wewnątrz medalionu zobaczyliśmy podobiznę bardzo przystojnego mężczyzny o inteligentnej twarzy, lecz z wyraźnie murzyńskimi rysami.

— To John Hebron z Atlanty — oświadczyła pani Munro. — Najszlachetniejszy człowiek na świecie. Wyrzekłam się mojej rasy, by go poślubić. I ani razu za jego życia tego nie żałowałam. Los chciał, że nasze dziecko jest do niego podobne. W mieszanych małżeństwach często się to zdarza. Mała Lucy jest nawet znacznie czarniejsza od swego ojca. Ale czarna czy biała, jest moją najukochańszą córeczką, moim najdroższym skarbem.

Na te słowa dziewczynka przebiegła pokój i przytuliła się do matki.

— Zostawiłam ją w Ameryce, gdyż była wątła — ciągnęła dalej pani Munro — i zmiana klimatu mogłaby jej zaszkodzić. Opiekowała się nią nasza stara służąca, Szkotka. Nigdy nawet na sekundę nie pomyślałam, że mogłabym się wyrzec mego dziecka. Ale gdy ciebie spotkałam i zakochałam się w tobie, Jack, bałam ci się przyznać. Niech mi Bóg przebaczy, ale lękałam się, że cię stracę, i milczałam ze strachu. Musiałam wybierać między wami i w przystępie słabości odwróciłam się od mojej małej dziewczynki. Trzy lata ukrywałam przed tobą jej istnienie. Wiedziałam jednak od niani, że jest zdrowa i jest jej dobrze. Aż wreszcie zapragnęłam gorąco znów ją ujrzeć. Walczyłam ze sobą, ale daremnie. Czułam, że to niebezpieczne, lecz mimo to zdecydowałam się sprowadzić dziecko i umieścić w pobliżu bodaj na parę tygodni. Wtedy to wysłałam niani sto funtów i pouczyłam ją, jak ma wynająć ów pusty cottage. Na pozór więc nie miałam z tym nic wspólnego. Byłam tak ostrożna, że kazałam nie wypuszczać dziecka z domu w ciągu dnia i zakryć mu rączki i twarzyczkę, by uniknąć plotek o małej Murzynce, gdyby ją kto zobaczył w oknie. Może niepotrzebnie byłam aż tak przewidująca, ale dostawałam szału na myśl, że możesz dowiedzieć się prawdy. Tyś pierwszy powiedział mi o sąsiadach, którzy się wprowadzili do cottage'u. Powinnam była poczekać do rana, kiedy nie mogłam spać z podniecenia. Wreszcie wstałam i wymknęłam się z domu, licząc na twój twardy sen. Niestety, zobaczyłeś mnie i odtąd zaczęły się moje zmartwienia. Następnego dnia, przy naszym spotkaniu, mogłeś już wykryć moją tajemnicę, ale szlachetnie zrezygnowałeś z tego. W trzy dni później ledwie niani się udało wymknąć z dzieckiem tylnymi drzwiami, gdy wpadłeś do domu przez ganek. Dziś już wiesz wszystko. Powiedz, co się teraz stanie ze mną i z dzieckiem? — Załamała ręce i zastygła w oczekiwaniu na odpowiedź.

Dwie długie minuty Grant Munro stał w milczeniu. Zawsze z przyjemnością wspominam jego reakcję. Uniósł dziecko do góry, ucałował, wziął je na rękę, drugą podał żonie i zawrócił do wyjścia.

— W domu to sobie najlepiej obgadamy — powiedział. — Nie jestem znów taki dobry, Effie, ale chyba lepszy, niż myślałaś.

Wyszliśmy z nimi aż na drogę. Tu Holmes lekko pociągnął mnie za rękaw.

— Myślę — powiedział — że lepszy z nas będzie pożytek w Londynie niż w Norbury.

Aż do późna w nocy Holmes nawet się nie zająknął o naszej przygodzie. Dopiero gdy ze świecą w ręku szedł do swej sypialni, powiedział mi:

— Jeśli kiedy zauważysz, że wpadam w zbytnią zarozumiałość albo że za lekko traktuję jakąś sprawę, szepnij mi tylko jedno słowo: „Norbury”, a będę ci bardzo wdzięczny.